

Od autora: Fanfiction na podstawie kultowej sagi Georga Lucasa.

Fale uderzały niewzruszone o brzeg stacji. Koth`lar już zaczepiało o horyzont, lecz dawało jeszcze trochę światła. Wokoło panowała dziwna cisza. W pewnym momencie laboratorium rozbłysło światłami i stało się najjaśniejszym miejscem pomiędzy bezkresnym morzem i niewielkim lądem. To automatyczny czujnik natężenia światła uruchomił system oświetleniowy. W takiej scenografii można było powiedzieć, że to miejsce było piękne. Na antenach i wystających majestatycznie masztach migały dodatkowo czerwone lampki. Zapadał powoli zmrok. Jedyne w oddali, na brzegu, bystre oko mogło dojrzeć parę jasnych punktów.

Prom desantowy typu Sentinel wytwarzał wokół siebie wiry wodne, gdy zbliżał się do wschodniego lądowiska stacji na Kothlis. Skrzydła zaczęły się podnosić. Prom z gracją oparł się o podłoże. Cisza i spokój jakie temu towarzyszyły były, co najmniej niepokojące. Trap powoli zaczął się opuszczać. Zza niego można było dostrzec postacie o charakterystycznym wyglądzie reptaili. Clawdite, na czele z Turusem i Praterem zaczęły schodzić ze statku. Zauważyli ślady walki. Widać było miejsca po strzałach z blasterów. Zastanawiała ich pustka w koło. Nie było nikogo. Fale rytmicznie uderzały o podstawę stacji. Turus i Prater stanęli już na lądowisku. Razem z nimi na Kothlis przyleciało jeszcze trzynastu Clawdite. Pozostała powierzchnia ładunkowa Sentinela miała przewieźć rośliny i beczki z kolceta. Nie spodziewano się problemów. O tym zapewniali sojusznicy, Bothanie. Tylko teraz nie było widać ani jednego.

- Jakoś dziwnie tu pusto - zaczął Turus.

- Nigdy tu nie byłem. Może tak witają gości - podśmiewywał się lekko Prater.

- Nie wydaje mi się. Panowie - krzyknął - bądźcie w gotowości.

Grupa przesuwiała się powoli w stronę drzwi. Wszystko wyglądało zwyczajnie, aż nazbyt zwyczajnie. Turus stanął przed panelem drzwiowym i wpisał kod. Weszli do środka. Wokoło było widać ślady walki. Blastery leżały na podłodze, ściany poprzecinane były ogromną ilością bruzd i wgłębień z wypalonymi dziurami. W kilku miejscach znajdowały się spore plamy krwi. Ciało jednak nie było widać.

- Niezła jatka tu musiała być. - powiedział Prater. Sięgnął do schowka na boku i wyciągnął małą mapkę stacji. - Do końca i w prawo. Powinniśmy zobaczyć plantacje.

Wszyscy ruszyli za Praterem. Już wiedzieli, że coś tu nie gra. Nigdzie nie było Bothan. Mieli na nich czekać. Misja była jednak jasna. Znaleźć i dostarczyć do bazy kolceta i rośliny. Przeszli jeszcze kawałek i skręcili w prawo. Po prawej stronie ujrzeli przeszkloną plantację.

- To pułapka! - krzyknął Turus. - Wycofujemy się!

Plantacja nie wyglądała tak jak się tego spodziewali. Wszystkie rośliny ustawione w rzędach były kompletnie spalone. Z każdej doniczki wystawały jedynie małe kikuty łodyg. W środku nie było widać śladów walki. Pomyśleli, że zostały zatrute. Najgorszy widok jednak dotarł do nich po chwili. Przy ścianie, w pozycji siedzącej, położono trzy ciała. Dwa posiadały rany postrzałowe, trzecie miało sporą dziurę w głowie. Byli to Rapid, Crekus i Clay.

Nagle usłyszeli dźwięk komunikatora.

- Hallo. Czy ktoś mnie słyszy?

- Mów!

- Mamy na radarze dwa statki. Właśnie weszły w atmosferę i szybko się zbliżają. Co mamy robić?

Wszyscy spojrzeli na siebie. Kto to może być? Nikt nie wiedział, że tutaj są. Chyba, że... Bothanie. Zdradzili ich.

- Widzimy ich! To Thunderclap i Agressor. Maja oznaczenia Wolnych Lotników.

Usłyszeli serie strzałów, a następnie potężny wybuch.

- Sentinel! - krzyczał Turus - słyszysz mnie?! - cisza...

- Mamy niespodziewanych gości. Przygotujcie się.

Cześć grupy weszła na teren plantacji. W oddali słychać było otwierające się drzwi na lądowisko. Po chwili rozpoznali pojedyncze kroki. Napastnicy szli ostrożnie. Gdy pierwszy z nich pojawił się na widoku, zza zakrętu padły strzały. Jeden z żołnierzy Rodziny Solo leżał na ziemi.

W tym momencie rozpętało się piekło. Clawdite ostrzeliwali przejście ze wszystkiego co mieli. Ściany były coraz bardziej poszatutowane. Zza rogu jednak nikt nie wychodził. Po chwili potoczyły się w ich stronę małe kule.

- Granat! Do tyłu!

Nastąpił wybuch, którego moc spotęgowała jeszcze zamknięta przestrzeń. Wszystkie szyby oddzielające plantacje wyleciały z posad. Korytarz zadymił się i ciężko było dojrzeć koniec swojego nosa. Strzały ucichły. Grupa znajdująca się poza plantacją ujrzała nagle przed sobą strumień światła, który świsnął między nimi. Dwóch Clawdite padło. Reszta ponownie zaczęła strzelać. Robiła to całkowicie na ślepo, gdyż nie widzieli celu. Od strony Rodziny także padały strzały. Dym lekko się przerzedził. Clawdite wycofali się w stronę plantacji. Sześciu z nich jednak nie dało rady tego uczynić.

- Poddajcie się! - zawołał Kumd - nie macie szans.
- Nie macie jak się wydostać! Zniszczyliśmy wasz transport!
- Możemy się wydostać po waszych ciałach! - krzyknął Turus.

Od strony plantacji wyleciały dwa granaty i odbiły się od ściany. Budynkiem ponownie wstrząsnął wybuch.

- Spróbujmy nie wybić wszystkich. Może coś od nich wyciągniemy.

Dziwiesięciu pozostałych przy życiu Clawdite`ów siedziało schowanych między regałami z sadzonkami. Ułożone były poprzecznie do wejścia i wielkiego przeszklonego frontu, który jednak teraz leżał na podłodze. Nad nimi rozciągała się sieć nawadniająca. W rogu znajdowała się maszyna do obsługi plantacji, która dostarczała komponenty do laboratorium znajdującego się na dole. Turus i Prater wiedzieli, że z minuty na minutę sytuacja staje się coraz bardziej beznadziejna. Przeciwników było znacznie więcej i byli lepiej wyposażeni. Oni przylecieli tu po sadzonki, a nie na misję wojskową. Poza tym wszyscy zdawali sobie sprawę, że wybuch, który słyszeli to był najprawdopodobniej ich statek. Nie było ucieczki. Honor jednak nie pozwalał im się poddać.

- Panowie - zaczął Prater - transformacja.

Pozostali kiwnęli głowami. Wszyscy zaczęli przekształcać się w ludzkie postacie najlepiej obrazujące przeciwników. Po chwili na plantacji znajdowali się tacy sami ludzie, jak Ci stojący poza nią.

Przez drzwi wpadło do środka trzech żołnierzy, którzy szybko schowali się za regałami. Poleciały w ich strony pojedyncze strzały, ale nie sięgnęły celu. Jediną szansą Zmiennych było zrobienie zamieszania i zajęcie miejsca kogoś z Rodziny Solo. Czekali. Jeszcze chwila. Gdy kolejnych dwóch wskoczyło do sa-

li, w kierunku drzwi poleciały granaty. Okolice wejścia na plantacje spowił dym. Przez chwile zapanaowała całkowita cisza. Trwało to tylko ułamek sekundy. Czas spowolnił. Retax i Kumd spojrzeli na siebie. Trzeba to skończyć. Retax wyciągnął swoje dwa blastery, a Kumd miecz świetlny. Za jego przykładem poszło jeszcze czterech innych członków Rodziny Solo posługujących się tą bronią. Od strony ław padły strzały. Żołnierze przy wejściu także odpowiedzieli ogniem. Kumd wyczuł, że napastnicy się zbliżają. W ostatniej chwili wykonał szybkie ciecie i kątem oka zobaczył ciało zsuwające się bezwładnie między regały. Rozległy się jeszcze trzy szybkie strzały. Potem lekkie zamieszanie i cisza. Powietrze nieco się przerzedziło. Można już było dostrzec poszczególne postacie.

Teraz spokojnie - pomyślał Prater. Nie wiedział czy komuś jeszcze się udało. W tym momencie wszyscy stali podniesieni. Kumd z Retaxem rozglądali się w koło. Mógłby przysiąc, że Retax nie jest zwykłym człowiekiem. Też się rozejrzał. Musi być teraz przekonujący. Nie wydostanie się stąd. Przecież nie poleci na Tatooine. Zorientują się już na statku, że on to nie on. Przybrał postać pierwszej lepszej osoby. Nie znał jej. Spokojnie. Trzeba poczekać na rozwój wypadków.

- Wszystko ok? Raport! - krzyknął Kumd.

- Trzech naszych przy drzwiach plus dwóch za pierwszymi regałami. Siedem ciał Clawdite'ów na plantacji, w kilku częściach - raportował jeden z żołnierzy spoglądając akurat na przeciwnika przeciętego mniej więcej w połowie mieczem świetlnym. Dodatkowo sześciu naliczyliśmy wcześniej.

- Yoki! - odezwał się Retax - jak się czujesz? Wszystko w porządku?

Yoki stał między regałami. Oczy wpatrzone były w ciała poległych. To była jego pierwsza akcja bojowa. Pierwszy raz używał w prawdziwej walce miecza świetlnego.

- Yoki! - krzyknął głośniejsze Retax

- Jestem. Wszystko dobrze.

Siedem ciał - pomyślał Prater. Czyli jeszcze jeden. Spojrzał przed siebie - Turusowi się nie udało. Czyli ktoś z pozostałych.

Żołnierze zaczęli opuszczać plantację i zgrupowali się na korytarzu. Wtedy Prater zauważył ilu ich na prawdę było. Co najmniej dwudziestu. Nie mieli szans. Tak jak pozostali opuścili salę. W środku został jeszcze Kumd i Retax. Stanęli z tyłu pomieszczenia. Szeptali o czymś do siebie. Jeden skinął do drugiego i skierowali się w stronę wyjścia. Retax zgasił papierosa o to co pozostało z jednego z regałów i rzucił go między kikuty roślin. Gdy już się zbliżali powiedział...

- Jak się czujesz Yoki na pierwszej misji?
- Bardzo dobrze - odpowiedział chłopak. - Co teraz?
- Dla Ciebie niewiele - Kumd w mgnieniu oka stanął przed Yokim z zapalonym mieczem świetlnym. Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Tylko Retax stał spokojnie.
- Co się stało? - miał błagalny głos.
- Dobrze wiesz co. Nie schowałeś ciała zbyt dobrze. Ale rozumiem, pospiech, zamieszanie.

Chłopak patrzył na nich, ale skupił się teraz na ręce trzymającej blaster.

- Nie wiem, o czym mówicie - powiedział jednocześnie podnosząc rękę.

Jego strzał drasnął Retaxa w rękę, ale to wszystko co zdążył zrobić. Ciecie Kumda było precyzyjne. Głowa, już nie Yokiego, przeleciała dwa metry i wylądowała na regale. Ciało zmieniło się w postać Clawdite. Wszyscy stali w osłupieniu i patrzyli na to, co się wydarzyło. Prater także. Miał pecha, pomyślał. Wybrał kogoś, kogo dobrze znali. Podstawowy błąd nowicjusza.

- Czy ktoś wie ilu ich było? - zapytał Retax zapalając papierosa.
- Nie - odpowiedział jeden z żołnierzy. Mamy czternaście ciał.

Wszyscy spoglądali na siebie podejrzliwie. Nie wiedzieli czy osoba stojąca obok to na prawdę ona. Zrobiło się małe poruszenie.

- Dla naszego bezpieczeństwa - zawiesił głos Retax - Proszę się zebrać w jednym miejscu.

Żołnierze zaczęli podchodzić pod ścianę.

- Ty Kumd też - powiedział Retax.

Kumd nie mówiąc nic przeszedł w miejsce zbiórki.

- Dobra. Teraz albo nigdy - pomyślał Prater.

Widział co się szykuje. Spróbuje zabrać ze sobą tylu ilu będzie w stanie. Nienawidził Rodziny. Upokarzali jego rasę na każdym kroku i to za pomocą jakiejś niewidzialnej mgiełki. Gdyby mieli choć trochę honoru to nie posuwaliby się do takich sztuczek. Odbezpieczył granat kontaktowy i ściskając go w ręku przeszedł do grupy. Przy lekkim wstrząsie zmiecie co najmniej połowę osób. Wiedział, że jeśli zaaplikują mu hormon to nie będzie panował przez chwile nad swoim ciałem. Nie chciał tak ginąć. Chciał odejść jako Clawdite.

Jego ciało zaczęło się zmieniać. Na początku nikt tego nie zauważył. Stali blisko siebie, a Retax majstrował coś na boku. Prater patrzył prosto w oczy jednego z żołnierzy. Gdy ten zorientował się co się dzieje, poczuł blaster przyłożony do brzucha. Przemiana zakończyła się i jednocześnie oddał strzał. Żołnierz padł na ziemię. Reszta odskoczyła na bok. Clawdite patrząc na Kumda puścił granat. Zamknął oczy, ale wybuch nie nastąpił. Granat lewitował dziesięć centymetrów nad ziemią. Kumd skupił na nim całą swoją uwagę. Następnie lekko skinął ręką i przeleciał on na koniec plantacji gdzie nastąpił wybuch. Retax był już przy Praterze z blasterem przy jego skroni.

- Bez gwałtownych ruchów. To było sprytne. Musze przyznać. Ale to koniec.

Clawdite stał z opuszczoną głową. Był całkowicie zrezygnowany. Żołnierze szybko go otoczyli i wzięli pod ręce. Retax uruchomił małego robota. Przeleciał on nad nimi i rozpylił hormon ACH. Nic się nie wydarzyło. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Już mieli dość niespodziewanych zwrotów akcji.

- Zostańcie z nim na górze. My sprawdzimy laboratorium na dole - zarządził Kumd.

Grupa skierowała się do windy. Wcisnęli odpowiedni przycisk, ale winda nie ruszyła. Kumd rozejrzał się wkoło. Nagle dostrzegł to, czego nie zauważył wcześniej. W rogach sali znajdowały się niezbyt duże pojemniki. Teraz zaczęły na nich migać małe czerwone światełka.

- Wszystko jest zaminowane! - krzyknął Kumd - do wyjścia! Szybko!

Wszyscy zaczęli biec. W połowie korytarza do wyjścia nastąpił pierwszy wybuch. Stacją wstrząsnęło. Za chwilę kolejny wybuch. I kolejny. Sufit zaczął pękać. Spory jego kawałek spadł przed Retaxem, ale ten zdołał go ominąć w ostatniej chwili. Kolejny wybuch. Kumd dał radę już otworzyć drzwi na lądowisko. Thunderclap czekał na nich z opuszczonym trapem. Wskoczył na niego jako pierwszy. Za nim Retax. Drzwi, przez które przed chwilą wyszli eksplodowały grzebiąc trzech żołnierzy. Wolni Lotnicy popędzali ich coraz głośniejszymi. Następni wskakiwali na pokład. W pewnym momencie lądowisko zapadło się pod siłą wybuchu. Kumd zdołał jeszcze złapać jednego z jego ludzi.

- Do góry! - krzyknął Retax.

Statek zaczął się wznosić. Trap pozostał cały czas otwarty. Kolejne eksplozje wstrząsały stacją. Zaczęła zatapiać się w morzu. Nic nie było z niej do uratowania. W statku znajdowało się dziewięć osób z dwudziestu dwu osobowej grupy uderzeniowej. Ciało Clawdite leżało na tym, co pozostało z lądowiska. To nie była udana misja. Zbyt wiele osób zostało tu pogrzebanych. Stacja pogrążyła się w morzu. Do Kumda i Retaxa dochodziło to, co się stało. Młody Yoki pozostanie tu na zawsze. Ogarnął ich smutek i zaduma. Obaj wiedzieli, że stali za tym Bothanie. Nikt inny. Ale teraz nie mieli do tego głowy. Musieli powiedzieć Benowi, że Yoki nie żyje. Trap się zamknął. Opuszczali Kothlis w ciszy.

Na brzegu Wrepeg wraz ze swoimi braćmi obserwował to, co się stało.

- To dopiero początek - powiedział spokojnie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

husarek, dodano 10.03.2017 14:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.